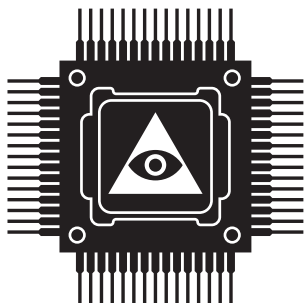




JAKUB SZAMAŁEK

GDZIEKOLWIEK

SPOJRZYSZ

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca

PAŹDZIERNIK 2020

Pies zaskamlał błagalnie. Janusz Murawiec wyburczał w odpowiedzi coś niezrozumiałego i przewrócił się na drugi bok. Naciągnął kołdrę na głowę, zacisnął mocno powieki. Udawał, że nie widzi psa. Czasem to działało. Czasem Bubel dawał mu wtedy spokój i zajmował się czymś innym. Kładł się na kanapie na przykład. Albo szedł gryźć buty.

Nie tym razem. Znow pisk. To żałosne e, ee, eee, którego nie sposób było zignorować.

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał, unosząc się na łokciu. Otworzył zlepiione snem powieki. Było jeszcze ciemno. – Wstaję, no widzisz przecież, że wstaję.

Pies zaszczekał, zaczął biegać w kółko. Rozmyta ruda plama. Nabrała ostrości, kiedy Janusz założył okulary. Wielkie ciemne oczy. Spieniona ślina kapiąca z pyska. Poszarpane ucho, pamiątka po spotkaniu ze skundlonym rottweilerem jakiegoś grzybiarza. Bubel chciał polizać Janusza po twarzy, ale ten się odsunął, odwrócił głowę. Kiedyś mu to nawet nie przeszkadzało, to jego lizanie. Aż któregoś razu zobaczył, jak Bubel żre własne gównno, no i wtedy się zaczęło.

Janusz zdjął piżamę, naciągnął dresy, koszulkę i gruby wełniany sweter. Potem założył zegarek. Piąta czterdzieści siedem. Rano. Boże, westchnął, żeby ten pies w końcu zdechł. Żeby tak wziął dostał raka, jak ten dalmatyńczyk Matusiaków, Ringo

czy inny Bingo, albo no, żeby go samochód potrafił. Wzięłoby się go do weterynarza, uśpiło i wreszcie byłby spokoj. Wreszcie by się wyspał.

E, ee, eee. E, ee, eee. Bubel był już w przedpokoju, już drapał w drzwi. Janusz zapiął mu smycz – nie było to łatwe, kundla tak nosiło z tej jego kretyńskiej radości, że nie mógł usiedzieć w miejscu – i wyszli na dwór. Było zimno. Z kominów pograżonych w ciemności domów bił węglowy śwąd.

Oczywiście Janusz nie miał zamiaru wywozić Bubla do lasu albo wyrzucić go z pędzącego auta. Nie był przecież potworem. Po prostu miał go dosyć. Tych porannych pobudek, dołków wykopywanych w ogrodzie, wreszcie podejmowanych regularnie prób kopulacji z jego łydką. Nigdy nie chciał psa, ale córki wierciły mu dziurę w brzuchu tak długo, aż uległ. *Tatusiu, tatusiu, prosimy.* Gdzieś w rodzinnym archiwum miał jeszcze te ich laurki, koślawe ludziki z koślawym psem obrysowanym koślawym serduszkciem, niby-prezenty, tak naprawdę błagalne supliki. To było dziesięć lat temu. Sporo się w tym czasie zmieniło. Starsza z córek, Laura, wyjechała do Niemiec, młodsza, Helenka, studiowała we Wrocławiu. A ich matka, Bożena, leżała w hospicjum w Lubinie; terminalne stadium raka. Jeździł do niej co drugi dzień, patrzyli sobie w oczy, razem płakali, ot, tyle im zostało. Poza tym był sam. Jeśli nie liczyć głupiego starego psa z chorym pęcherzem.

– Zostaw, Bubel – warknął, szarpiąc za smycz, bo Bubel oczywiście już wywachał w krzakach jakiś śmieć, coś, co można by było pożreć, następnie wyrzygać na dywan, a potem się w tym wszystkim wytarzać. Janusz pociągnął psa w przeciwnym kierunku, do lasu. Minuta, dwie i domy mieli już za sobą, szli polną drogą. Ruda była małą wsią: ale bogatą. Mieli tu kryty basen, halę sportową, lśniący nowością dom kultury. Rekompensata za niebezpieczne warunki. Za wiszącą nad nimi groźbę.

Doszli do drzew. Bubel kręcił się chwilę, wreszcie znalazł właściwe miejsce, kępę zwiędłej trawy, po czym zgarbił się

i wytrzeszczył oczy. Janusz odwrócił wzrok w drugą stronę, ku Żelaznej Górze. Świtało, słońce wydobyło z ciemności ogromne, czternastometrowe wały, które ciągnęły się wzdłuż horyzontu. Wyższe od domów, od drzew. Mimo że Janusz mieszkał w Rudej już dwadzieścia lat, wciąż nie przyzwyczał się do tego widoku, nadal robił on na nim wrażenie. Potężne wały wyglądały jak pozostałości po jakiejś dawno wymarłej cywilizacji. Skryte pod ziemią mury pradawnego miasta, powiedzmy. Albo ruiny zigguratu, na którym dawno temu odprawiano jakieś krwawe pogańskie rytuały.

Prawda była oczywiście bardziej przyziemna. Żelazna Góra była swojego rodzaju śmietnikiem. Wały otaczały ogromny zbiornik wypełniony ściekami, pompowanymi tu przez położoną nieopodal kopalnię Polskiego Konglomeratu Miedziowego. „Płyny poflotacyjne”, tak to się chyba nazywało, czyli wymieszana z chemikaliami woda, potrzebna, by wypłukać z rudy cenne minerały. Kilkaset milionów metrów sześciennych toksycznych ścieków, rozlanych na powierzchni ponad tysiąca hektarów, spiętrzonych wysoko ponad trzema wsiami: Rudą, Lipkowem i Miłą. Jedyna w Polsce zbudowana ręką człowieka struktura, którą widać było z kosmosu. Zbiornik na ścieki.

Janusz usłyszał drapanie, Bubel skończył swoje. Znaczy na razie. Bo wiadomo, nie może przecież załatwić wszystkiego naraz, to by było wbrew złotej zasadzie psiego *savoir-vivre'u*, który wymagał zostawienia biletu wizytowego w kilku różnych miejscach. Przejdziemy się jeszcze kawałek, pomyślał mężczyzna, do martwego dębu albo najdalej do mrowiska. A potem do domu. Do łóżka.

Janusz pociągnął za smycz – i prawie się przewrócił. Bubel zapierał się nogami w rozmięklej ziemi. Nie chciał iść dalej. Opuścił łeb, podkulił ogon. I znów zaczął skamleć. *E, eę, eęę.*

– No chodź, głupi – syknął Janusz. Nie podziałało, pies wciąż tkwił w miejscu. Musiał się czegoś przestraszyć, drżał na całym ciele. Skaranie boskie, pomyślał Janusz. A potem coś

usłyszał. Coś, co sprawiło, że wyprostował się jak struna, że uleciały z niego resztki snu. Huk. Potężny huk, który czuło się całym ciałem jak dreszcz.

Janusz odwrócił się – i zastygł, przerażony. Wał się osuwał. W dół stromego zbocza ruszyła lawina piachu i żwiru. Powietrze wypełnił pył, zaraz potem rzygnęło brudną, spienioną wodą. Widział, jak rwący potok łamie drzewa z trzaskiem w pół, jak przewraca słupy wysokiego napięcia, porywa ze sobą głązy. Była to zresztą ostatnia rzecz, jaką Janusz Murawiec kiedykolwiek zobaczył.

Może zapalę świece? Nie, pomyślała Julita Wójcicka, świece to by była przesada. Ale górne światło można by zgasić, a zostawić włączoną lampę stojącą w rogu, to będzie tak bardziej intymnie. A jak nakryć do stołu? Obrus byłby zbyt odświętny, heloł, to nie dziewiętnasty wiek, ale wyblakłe gumowe podkładki w esy-floresy, których używała na co dzień, wysłałyby z kolei sygnał, że jej nie zależy; też niedobrze. Więc może goły blat, ale za to z jakimiś ładnymi serwetkami, na przykład tymi z grubego papieru, ze złoceniami? Tak, tak zróbmy, uznała. A muzyka? No, coś trzeba puścić, żeby cisza nie dzwoniła w uszach. Bo wiedziała, że będzie cisza, krępująca i niewygodna. W końcu przychodził do niej Janek Tran. I mieli nie rozmawiać o pracy.

Wróciła do kuchni, zamieszała sos z dyni, żeby nie przywarł do patelni, wsypała sól do gotującej się wody, po czym wyciągnęła paczkę spaghetti z szuflady. Próbowowała ją otworzyć, ale nie było łatwo – miała wilgotne ręce, palce ślizgały się po plastiku. Kiedy wreszcie ją rozdarła, makaron rozsypał się z grzechotem po podłodze. Zaklęła, pozbierała kluski – z wyjątkiem jednej, której nie zauważyła i rozdeptała na drobne kawałki – po czym zastygła nad garnkiem, niepokorna, czy posoliła już wodę, czy nie? Postanowiła sprawdzić, więc nabrała odrobinę wody na łyżkę i poparzyła sobie nią podniebienie. Krótko mówiąc, Julita Wójcicka była zestresowana. Bardzo.

Relacja, która łączyła ją z Jankiem, była skomplikowana. Był jej przewodnikiem po świecie nowych technologii. Był też gburą, który nie używał takich słów jak „dziękuję” czy „proszę”. Nie wahał się jej okłamać, kiedy było mu to po drodze. Ale też nie wahał się ryzykować własne życie, żeby stanąć w jej obronie. Czasami miała ochotę wydrapać mu oczy. Czasami miała ochotę zedrzeć z niego koszulę. I co ciekawe: nie były to uczucia wzajemnie się wykluczające.

A więc skomplikowana relacja. Spotykali się właśnie po to, żeby ją uprościć. Mieli sprawdzić, czy potrafią rozmawiać o czymkolwiek innym niż jej śledztwo, niż forum „Plac Zabaw”, człowiek ukrywający się pod pseudonimem X1, partia Polska Jutro. Czy iskrzy między nim też wówczas, kiedy nie są pijani adrenaliną. Czy potrafią wyjść poza wzajemne docinki i złośliwości – czy nie. W jedną albo w drugą. Wóz albo przewóz.

Julita odcedziła makaron i zostawiła go pod przykrywką, żeby nie wystygł, zmniejszyła ogień pod sosem do minimum. Potem zdjęła fartuch i poszła do sypialni; zbliżała się dwudziesta, czas się przebrać. Ciuchy przygotowała już wcześniej: czarne dżinsy, szary golf, do tego srebrny łańcuszek z zawieszka w kształcie liścia. A na stopy? Na pewno nie kapcie, szpilki też nie, bo będzie od niego wtedy wyższa o pół głowy, zresztą bez przesady z tym strojeniem się. W końcu zdecydowała się na baleriny. Obejrzała się w lustrze, odgarnęła kosmyk włosów za ucho, podciągnęła opadające spodnie. Schudła pięć kilo. Ze stresu. Ostatnie miesiące były trudne, jeszcze się nie pozbierała. Nie była pewna, czy w ogóle się pozbiera. Czy kiedyś jeszcze będzie mogła wyjść na ulicę i nie oglądać się za siebie? Czy kiedyś przestanie reagować paniką na każdy głośniejszy dźwięk, zaufa nieznajomemu, zaśnie bez proszków?

Zadzwoił domofon. Od razu poczuła, jak krew uderza jej do głowy, jak płoną policzki. Poczuła impuls, żeby pobiec, jak najszybciej odebrać, ale go zwalczyła. Spokojnie, głupia, opieprzyła się w myślach, przecież Janek może chwilę poczekać.

Podeszła spokojnie do domofonu, potwierdziła, że to rzeczywiście on, chwilę później po klatce niosły się już kroki. Co teraz? Jeśli będzie po prostu stać przy drzwiach, pomyśli, że wygląda go jak kania dżdżu. Niedobrze, wyjdzie na desperatkę. To może pójść do kuchni, że niby coś tam jeszcze kończy, i przyjść dopiero, jak wejdzie, ze ściereczką w rękę, na luzie? Tak, może tak lepiej, uznała. I wtedy, właśnie kiedy się odwracała, zadzwonił dzwonek do drzwi. Julita wyjrzała jeszcze na klatkę przez wizjer; życie zdążyło ją już nauczyć, że lepiej dmuchać na zimne. Janek miał na sobie granatową marynarkę, trochę przyciasną w ramionach. W rękę trzymał wino. Wpuściła go do środka.

– Hej – przywitała go. – Jak punktualnie.

– A to źle?

– Nie, nie, tak tylko... – Urwała, zmieszana. – No, wejdz.

Wszedł. On chciał jej podać rękę, ona pocałować go w policzek, prawie się zderzyli czołami. Świetnie, pomyślała Julita, no po prostu komedia pomyłek. Dał jej wino. Na etykiecie widniało logo sklepu. A obok niego przylepiona była naklejka, SUPER OFERTA. Zrobiło jej się trochę przykro.

– Ho, ho, niezły rocznik – powiedziała. W zamierzeniu miał to być żarcik. Zabrzmiało jak docinek.

– Wino to wino. – Janek wzruszył ramionami, chyba urażony.

– Powiedziałbyś to Francuzom...

– Co? Jakim znowu Francuzom?

– Wiesz, znaczy, że... – Urwała. Bez sensu. – Nieważne. To czego się napijesz?

– No... – Uniósł brew, jakby zadała mu podchwytliwe pytanie. – Wina?

– Aha. Dobra, to już otwieram.

Słodki Jezu, myślała, szukając nerwowo korkociągu, co za katastrofa. Okej, Janek nigdy nie był specjalnie elokwentny, nie oczekiwała, że od wejścia oczaruje ją gładką gadką, ale nie spodziewała się też, że będzie aż tak źle. A przecież wtedy,

w kawiarni, tydzień temu, rozmawiało im się już całkiem nieźle, nawet trochę żartowali, nawet powiedział jej coś miłego. No, ale to nie była randka. Randki mają jednak swoją specyfikę, zwłaszcza te pierwsze. Mianowicie zwykle są tragiczne. Julita wyciągnęła korek, uniosła butelkę pod nos – i skrzywiła się. Wino to wino, zgoda. Ale to był raczej ocet.

Janek siedział przy stole. Nałożył już sobie sałatki, którą zrobiła: kulki mozzarelli, rukola, pestki słonecznika, ocet balsamiczny i oliwa. Szybkie, proste, a jednak takie trochę – a i na dodatek każdemu smakuje. No, prawie każdemu, bo Janek odgarniał właśnie rukolę na bok z taką miną, jakby wyciągał włosy z zupy. Podała kieliszki. Nie doczekała się podziękowania.

– Jakieś postępy? – spytał Janek, nie odrywając wzroku od talerza. – W sensie?

– No, z Xtraterrestria1. X1.

– Mieliśmy nie rozmawiać o pracy – przypomniała.

– A... – Janek wsadził do buzi kulkę mozzarelli. – Racja.

Julita zdusiła wzbierające w piersiach westchnięcie i sięgnęła po pieczywo. Skubała skórkę od chleba w oczekiwaniu na inne pytanie. Nie padało. Było tak cicho, że słyszała, jak woda skapuje z durszlaka schnącego na ociekaczu. Muzyka. Zapomniała w końcu puścić muzykę.

– To czego posłuchamy? – spytała.

– Może być cokolwiek.

Julita przewróciła oczami. Ja pierdolę, pomyślała. Orka na ugorze.

– To może Maryla Rodowicz? – spytała lukrowanym głosem.

– Co?

– Kolorowe jarmarki, ram pam pam pam – Julita śpiewała i pstrykała rytmicznie palcami – blaszane zegarki, ram pam pam pam, koguciki na druciku, ram pam pam pam...

– O co ci chodzi?

– O co mi chodzi? – Walnęła dłonią w blat, zagotowana. Nikt nie potrafił jej wyprowadzić z równowagi tak szybko jak on. – To miała być randka. Byłeś kiedyś na jakiejś randce?

– Zdarzało się.

– No i? Na co zarywałeś laski? Układałeś im origami z serwetek? Robiłeś słomką bąbelki w coli?

– Różnie.

– No to proszę, zrób coś. Bo jak na razie to przyniosłeś wino z dyskontu i gapisz się tępo w talerz.

Janek przewrócił teatralnie oczami, odchylił się w krześle.

– To jakie masz hobby? – spytał.

Nie do wiary, pomyślała. No nie do wiary.

– Jakie mam hobby? – syknęła wściekle. – Serio?

– No co? Mielśmy nie rozmawiać o pracy.

– Więc pytasz mnie o hobby?

– A o co mam pytać? Jaką książkę byś wzięła na bezludną wyspę?

Julita zacisnęła dłonie w pięści. Miała ochotę na niego narzeczce, wyszarpać za włosy, wywalić za drzwi. Zamiast tego wychyliła duszkiem kwaśne wino, otarła usta wierzchem dłoni i usiadła mu na kolanach.

Samochód się zatrzymał. Za przyciemnioną szybą limuzyny błyskały dziesiątki kogutów: policja, straż pożarna, karetki. Helena Niemczyk skrzywiła się. Migoczące światła potęgowały ból głowy, który i tak rozsadał jej czaszkę. Jednak trzeba było wziąć dwa ibupromy, pomyślała, patrząc na swoje odbicie w szkle. Zmarszczki. Wory pod oczami. Centymetrowe odrosty.

– Jesteśmy na miejscu, pani dyrektor. – Kierowca odwrócił się w jej stronę.

– Wiem przecież – warknęła. – Otwórz mi drzwi.

Mężczyzna pomógł jej wysiąść, podał rękę, żeby się oparła. Myślała z początku, że przesadza, że to niepotrzebny przejaw sarmackiej szarmanckości – „rączki całuję, panie przodem,

zdrowie naszych pięknych żon” – aż poczuła pod stopami grunt. Mimo że miała na sobie robocze kalosze z grubą traktorową podeszwą, ślizgała się na nich jak na łyżwach. Szła powoli, ze wzrokiem wbitym w błotnistą ziemię. Miała niebieskawy kolor, opalizowała lekko w słabym jesiennym słońcu. Kiedy się na nią nadepnęło, spod powierzchni wydobywała się z sykiem brudna piana. Nie wygląda to dobrze, pomyślała Helena. A cuchnie jeszcze gorzej. Stacją benzynową. Dentystą. Kretem.

Zatrzymali się przy szarpanej wiatrem biało-czerwonej taśmie. Dalej nie można już było iść. Dalej, do Rudej, wpuszczali już tylko strażaków z ratownictwa chemicznego w żółtych kombinizonach ochronnych. Niebieskawe błoto zalało ulice, przykryło samochody, sięgało do połowy parterowych okien. Wyżej ściany były pokryte ogromnymi kleksami, jakby komuś potłukł się słoik z tuszem. Słoik o pojemności kilkudziesięciu tysięcy litrów. Powiało od wsi. Powietrze gryzło w nos, szczypało oczy.

– Pani Heleno! – usłyszała. – Tutaj!

Poznawała ten głos. Należał do Adriana Bełżyńskiego, prezesa zarządu Polskiego Konglomeratu Miedziowego, jej bezpośredniego przełożonego. Stał kawałek dalej, przy kościele – tym kościele – obok komisarza Ryszarda Czaplińskiego z komendy w Lubinie, z którym kiedyś, dawno temu, blisko się przyjaźniła. Podeszła do nich już sama, bez pomocy kierowcy.

– Przybywa pani w samą porę – powiedział prezes Bełżyński. Nawet w kaloszach i gumowym płaszczu prezentował się dystyngowanie. Może był to efekt oprawek za kilka tysięcy. Albo opalenizny złapanej na Malediwach. – Pan kontynuuje, panie Ryszardzie.

– Może zacznę od początku, żeby Hela... – Policjant się zmieszał, uciekł wzrokiem w bok. – Znaczy dyrektor Niemczyk...

– Oczywiście. Jak pan woli.

– No więc. – Policjant odchrząknął. – Wiemy na razie tyle, że do wycieku doszło o szóstej zero trzy rano. Przerwany został wał na odcinku wschodnim... Jakies czterysta metrów stąd, o tam,

za domami... Całe szczęście fala poszła lasem, ale jak widać, Ru-
dej całkiem nie ominęło... W sumie zalanych zostało czterdzieści
budynków mieszkalnych i ponad sto zabudowań gospodarczych.
Razem blisko pięćset hektarów, w tym sto pięćdziesiąt hekta-
rów terenów rolnych... Największe straty będą w Mlekołu, tam
błoto zalało obory, podobno wszystkie krowy trzeba będzie...

– Pan pozwoli, że krowami będziemy martwić się później. –
Bełżyński wszedł mu w słowo. Był poirytowany. Nerwowo. –
Proszę lepiej powiedzieć o ludziach. Są ofiary?

– Racja, racja. Śmiertelna tylko jedna, całe szczęście. Mamy
już potwierdzoną tożsamość. Janusz Murawiec, lat pięćdziesiąt
siedem, nauczyciel z technikum w Polkowicach. Był pod samym
wałem, kiedy walnęło, no nie miał szans. Poszkodowanych jest
oczywiście więcej... Mamy przypadki poparzeń chemicznych,
kilka złamań, ponad trzydzieści osób jest w szpitalach... Ale nie
ma przypadków zagrożenia życia, odpukać.

– A co on w ogóle tam robił, ten nieszczęsny Murawiec? –
zdziwiła się Helena. – O takiej porze?

– Z psem wyszedł. Na taśmach z monitoringu było widać.
Inaczej szybko byśmy go nie znaleźli... Facet leżał pod dwoma
metrami mułu.

– Tylko jeden... – Bełżyński przeżegnał się, odetchnął
z ulgą. I słusznie, pomyślała Helena. W 1967, kiedy do podobnej
katastrofy doszło w Iwinach na Śląsku, ofiar było osiemnaście. –
Bogu niech będą dzięki. Jak tu przyjechałem, jak to zobaczyłem...
Myślałem, że będzie gorzej. Dużo gorzej.

– Prawda... Można mówić o cudzie. Gdyby wały pękły choć-
by parę metrów bliżej wsi, to... – Policjant urwał w pół zdania. –
Strach w ogóle myśleć. Masakra.

Zapadła cisza. Helena przycisnęła palce do pulsujących
skroni. Patrzyła na zniszczoną rodzinną wieś i nie czuła nicze-
go. Ani współczucia, ani ulgi, ani stresu. Tylko ten ból, który
ściskał jej głowę, z każdym uderzeniem serca coraz mocniej.
Świat do niej nie docierał. Był jak film, który leci gdzieś w tle,

na telewizorze, którego nikt nie ogląda, który gra tylko dlatego, że nikomu nie chce się szukać pilota, żeby go wyłączyć.

– Helena? – Bełżyński uniósł brew, nie wiadomo, zaniepokojony czy niezadowolony. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak. – Opuściła dłoń, uniosła głowę. – To ten smród. Mdli mnie. Ryszard... Coś jeszcze było na tych taśmach? Ktoś się kręcił koło tych wałów? Coś majstrował?

– Nie, nic takiego nie zauważyliśmy – odpowiedział policjant, nie patrząc jej w oczy. – Tylko ten facet z psem. Wygląda mi to na awarię.

– Robiliśmy pełen przegląd instalacji hydraulicznych trzy miesiące temu. Wszystko było tip-top.

– Ja tylko mówię, że tak mi wygląda.

– To proszę tak nie mówić – powiedział Bełżyński. Spokojnie, ale powiało chłodem. – Zwłaszcza do mediów. Kiedy robicie konferencję prasową?

– O dwunastej.

– Dobrze. Ktoś z naszego pijaru się do was odezwie. Żeby przypadkiem nie było takich kwiatków w oświadczeniu.

Ryszard skinął głową, jakby przyjmował polecenie. Nic dziwnego. Bełżyński był tu bogiem. PKM, któremu szefował, był jedną z największych firm w Polsce. W tym powiecie, ba, w tym województwie, każdy był od niego zależny: albo sam pracował dla Konglomeratu, albo miał tam kogoś z rodziny. Tak jak komisarz Ryszard Czapliński, którego żona Irena zatrudniona była w dziale księgowości.

Policjant zrozumiał, że rozmowa dobiegła końca, więc uklonił się i ruszył w stronę radiowozu z wyraźną ulgą; niebieskawe błoto mlaskało głośno pod jego butami. Bełżyński pocierał brodę, zamyślony, przejęty. Helena nie przerywała ciszy, czekała, aż pierwszy się odezwie. Oglądała zalany toksyczną breją kościół. Drewniany krzyż na dziedzińcu złamał się i zawisł na drutach wysokiego napięcia; wyglądał jak zapaśnik, oparty o liny ringu. Figurę Maryi, która stała przy wejściu, zakryło aż po szyję. Przez stłuczone

okna widać było wywrócone do góry nogami ławy, potrząskany na drzazgi konfesjonał, upstrzony niebieskimi plamami ołtarz. Helena stała przy nim wiele razy. To tu brała ślub ze Staszkiem. Tu chrzcila Janinkę. Tu odbyła się msza pogrzebowa jej córki.

– Będzie z tego chryja – powiedział w końcu Bełżyński.

– Przez tydzień. – Helena poprawiała płaszcz. – Potem sobie znajdą inny temat.

– Nie byłbym taki pewien. Wiesz, jaki teraz jest klimat, jacy są dziennikarze. Każdy pretekst jest dobry, żeby przypierdolić w rząd.

– Wypadek. Losowa rzecz.

– Wypadek... Dla nich nie ma czegoś takiego jak wypadek. Ty ich nie znasz, Helena, tych hien – jęknął Bełżyński. – Nie pamiętasz, co się działo, jak zeszły rok zamknęliśmy na minucie? Mało się nie zesrali ze szczęścia. A teraz będzie tylko gorzej, przecież na same odszkodowania pójdzie kilkaset baniek. Co w ogóle w tym jest? W tym syfie? – Mężczyzna trącił butem bryłkę błota. Jak większość prezesów, pod którymi pracowała, niewiele wiedział o górnictwie. Jak większość prezesów, pod którymi pracowała, był spadochroniarzem z Warszawy, który otrzymał tę posadę w nagrodę od kolegów z partii.

– Ksantogenian etylowy i i-butyłowy – powiedziała bez zająknięcia. – No i jeszcze spieniacz, czyli mieszanka poliglikoli i eterów poliglikoli. Do tego dochodzą, rzecz jasna, cząsteczki metali wypłukanych z rudy, w tym metali ciężkich.

– To wszystko jest toksyczne, prawda?

– Bardzo. – Skinęła głową. I od razu poczuła, jak w środku rozsypują się igielki. – I rakotwórcze.

– Jezu, ja pierdolę... – Bełżyński potarł twarz. – No i co tu się stało, Helena? Czemu to jebnęło, te pieprzone wały?

– Nie wiem. Tak jak mówiłam Ryszardowi, dopiero co był przegląd, nic nie wykryli. Odczyty na pompach przed katastrofą też były w normie.

– A te, sejsmografy?

– Sprawdziłam. Nie odnotowały żadnych wstrząsów.

– Faktycznie cud, kurwa.

– Opanuj się. Jesteśmy przy kościele.

Bęłzyński machnął ręką, chodził chwilę w miejscu. Gdzieś nad nimi terkotał helikopter.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Nic tu więcej nie wymyślimy. Wracam do biura. Będziesz na radzie?

– Oczywiście.

– To do zobaczenia.

Helena wróciła do samochodu. Otrzepała kalosze, usiadła na tylnym siedzeniu. A potem wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni płaszczą piersiówkę i pociągnęła trzy duże łyki.

Julita bała się, że Janek będzie w łóżku taki, jak w rozmowie. Szorstki, obcesowy, ślepy na sygnały drugiej osoby, na cudze uczucia. Że będzie gniótł jej piersi i szczypał sutki, wpychał w nią na siłę palce, a języka używał jak łomu, którym trzeba rozewrzeć partnerce usta. Ale wystarczyło, że poczuła, jak jego dłonie powoli przesuwają się wzdłuż linii kręgosłupa, aby obawy wyparowały. Janek wiedział, co robi. I robił to dobrze.

Całował ją powoli, drażniąc się z nią, jakby miał zamiar to robić cały wieczór; pragnęła jednocześnie, żeby wreszcie przyspieszył i żeby nigdy nie przerwał. W końcu mrowiły jej całe wargi, nie mogła już tego wytrzymać, więc złapała go za policzki i pociągnęła go niżej, aż poczuła jego usta na szyi. Przeszedł ją dreszcz, silny, taki, który rozlewa się po całym ciele, aż stają włosy na karku, aż podkurczają się palce u stóp.

Było jej gorąco, czuła, że ma czerwone policzki, od jego dotyku, od tego ohydneho wina. Odsunęła się i zaczęła zdejmować golf; nim ściągnęła go przez głowę, już rozpiął jej stanik, już całował jej piersi. Rzuciła sweter na ziemię i wstała; musiała się oprzeć o stół, tak jej się kręciło w głowie. Janek spojrzał na nią zaniepokojony, speszony.

– Słuchaj, jeśli to było za szybko, to...

Nie dała mu dokończyć. Złapała go za rękę, pociągnęła, aż wstał z krzesła.

– Do łóżka – szepnęła. – Raz, raz.

Kiedy tylko weszli do sypialni, Janek ściągnął jej spodnie. Piął się językiem po jej udzie, coraz wyżej i wyżej, aż dotarł do celu, aż oczy wywróciły jej się do góry. Lizął ją i pieścił, teraz już bez żadnego droczenia się, bez żadnych gier, metodycznie, mocno i szybko, mocno i szybko, mocno i szybko. Nagle poczuła, jak eksploduje, jak gardło drapie od krzyku. Coś dziwnego stało się wtedy z czasem: zaczął się rwać, to przyspieszać, to zwalniać, jak porysowana płyta CD przeskakująca między nutami piosenki. W jednej chwili szarpała się z jego paskiem, w drugiej już czuła go w sobie i oplatała nogami; kiedy zamykała oczy, widziała jego twarz, a kiedy je otwierała, był już za nią, ścisnął jej pośladki, jego oddech parzył spocone plecy.

Wreszcie czas się zatrzymał. Julita opadła na poduszkę, odgarnęła lepiące się do czoła włosy, wzdrygnęła się. Leżeli. Dyszeli. Dziwna była ta cisza. Wydawałoby się, że tyle wydali z siebie jęków, tyle ochów i achów, że te jeszcze godzinami będą odbijały się od ścian sypialni w tę i we w tę, niknąc stopniowo, powolutku, jak topniejący śnieg, jak morze cofające się w odpływie. Jeszcze dziwniejsze było to, że się nie dotykali. Przed chwilą przecież chwyтали siebie nawzajem tak łapczywie, że paznokcie wbijały się w skórę, że zęby zostawiały ślady, kreseczka za kresczką, jakby ktoś wyrysował: tu przeciąć. A teraz środek materaca zmienił się w ziemię niczyją, strefę buforową, nie wiedzieć czemu; przesunięcie granic było samoistne, niepoprzedzone negocjacjami ani wymianą chłodnych depeesz. Julita nawet chciała się do niego przytulić, ale czuła, że teraz byłoby to niezręczne, na siłę. Może gdybym to zrobiła od razu, pomyślała, może gdybym położyła głowę na jego piersi zaraz po, może wtedy wyszłoby naturalnie. Ale już nie teraz. Zdobyła się na to, żeby złapać go za dłoń. Odwzajemnił uścisk. Ale nie przyciągnął jej do siebie.

– Wszystko w porządku? – spytał Janek. – Było okej?

- Nie wymuszaj komplementów.
- Nie, chodzi mi o to, czy wiesz, czy się...
- Było bardzo okej. Bardzo, bardzo.
- Aha. No to fajnie.
- No.

Janek podrapał się po brzuchu i utkwiał wzrok w suficie. Jemu cisza zdawała się nie przeszkadzać. Czuł się dobrze zostawiony sam sobie, pogrążony we własnych myślach. Julita zastanawiała się, jak by wyglądał ciąg dalszy tego wieczoru, gdyby to zależało tylko od niego. Pomilczeliby jeszcze godzinę, potem wstałby, ubrał się, wyrzucił zużytą prezerwatywę zawiązaną w supełek, wyjadł resztę mozzarelli z sałatki, mruknął coś na do widzenia i poszedł do domu? Dla niej to było za mało. Czuła, że muszą to przegadać, że musi mieć jasność, na czym stoją. Julita położyła się na boku, oparła głowę na łokciu.

- Janek? – zaczęła.
- No?
- Może pogadamy o tym, co... Wiesz. Co się stało.
- No, poszliśmy do łóżka, zdaje się.
- Tak, bez wątpienia. Raczej... – Zawahała się. – No, chodzi mi o to, co dalej.
- A co ma być?

Dobre pytanie. Kiedy Julita zapraszała Janka do siebie, nie miała konkretnych oczekiwań. Nie łudziła się, że będzie to początek wielkiej miłości: nie nuciła pod nosem marszu Mendelssohna, nie wyobrażała sobie wspólnej starości. Po prostu męczyło ją to napięcie między nimi, więc chciała je rozładować i zobaczyć, co się stanie. Wnioski z tego eksperymentu nasuwały się dwa: a) seks był świetny, b) cała reszta już nie bardzo. O ile przed tym wieczorem dopuszczała jeszcze ewentualność, że, kto wie, może wyjdzie z tego coś więcej – bo okaże się, że Janek stanie się inny, jeśli ich znajomość wyjdzie poza dotychczasowe ramy, bo może otworzy się przed nią i pokaże wrażliwszą stronę – o tyle teraz wydawało jej się to wręcz absurdałne. Janek

najwyraźniej nie miał wrażliwszej strony, a jeśli miał, to była ona ukryta tak głęboko, schowana pod tak grubym pancerzem, który kiedyś na siebie nałożył, a teraz nie potrafił go z siebie zdjąć, że nie miała najmniejszej ochoty jej szukać.

– Szczerze? Ja... Ja tu nie widzę potencjału na... No, wiesz. Na coś więcej – mówiła delikatnie, miękko; bała się, że go urazi. Niepotrzebnie, jak się okazało. Janek prychnął, rozbawiony.

– Mogłem ci to powiedzieć od razu – powiedział.

– Aha. – To już ją trochę wkurzyło. Że tak bez zawahania to powiedział, że z tym swoim uśmieszkiem. – Bo co, wiesz, że jesteś emocjonalnie niedojrzały?

– Nie. Bo wiem, że mam do czynienia z wariatką.

– No naprawdę, brawo, wiesz, jak skomplementować dziewczynę.

– Mówię, jak jest. – Wzruszył ramionami.

– Ta, racja. Bo wino to wino, nie?

– Babka na kasie mówiła, że dobre – bąknął.

– No, to go musisz spróbować. Za karę.

– Spróbowałem przecież.

– Tak? Niby kiedy?

– No, wiesz... – Zmieszał się. – Pośrednio.

Przypomniało jej się, jak usiadła mu na kolanach. Jak go całowała. Jak ssał jej czerwone od wina usta. Poczuła ucisk w podbrzuszu. Przyjemny. Janek podniósł się, zaczął naciągać spodnie. Siedział do niej tyłem.

– Czyli co... – Odkasznęła. – Wracamy... Wracamy do punktu wyjścia?

– Aha.

– Boję się, że będzie niezręcznie.

– Wcześniej też było niezręcznie.

– Ha! – Uśmiechnęła się. – W sumie prawda.

Janek włożył koszulę, zapiął guziki. Z wyjątkiem tych, które mu urwała. Julita usiadła, podciągnęła kolana pod brodę. Nie chciała, żeby wychodził. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Ja nie mam hobby, tak w ogóle – powiedziała.
- Co?
- No, pytałeś. Wtedy, przy stole. Jakie mam. No, to nie mam w ogóle.
- Aha. – Janek się zamyślił, podrapał po głowie. – Ja chyba też nie.
- Może to było mało realistyczne założenie, co? Żebyśmy nie rozmawiali o pracy.
- Twój pomysł.
- Tak, tak, wiem, wszystko moja вина. Podasz mi ciuchy?
- Skinął głową. Podniósł z podłogi spodnie i bieliznę. Sweter został w jadalni, więc zamiast niego włożyła przykrótką polarową bluzę w kotki, w której spała, kiedy było zimno, a posklejane włosy spięła gumką.
- To zjemy w końcu? – spytała. – Już, tak wiesz... Niezobowiązująco. Bo nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna jak wilk.
- Mogę zjeść.
- Dziękuję, łaskawco.
- Julita odgrzała spaghetti, wymieszała je z sosem. Jedli chwilę w milczeniu. Janek przeżuł, popił winem, skrzywił się. A potem spytał:
- No to jak w końcu z tym śledztwem? Masz coś?
- Julita odsunęła talerz i westchnęła ciężko.

Florian dotknął ściany basenu i wypłynął na powierzchnię. Zdjął okulary i spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Dwudziesta pierwsza czterdzieści dwie. Czas się zbierać, pomyślał, zaraz będą zamykać. Wspiął się po drabinie, odszukał swoje japonki wśród innych kłapek wepchniętych pod ławkę, po czym poszedł pod prysznic. Spośród sześciu dostępnych kabin wybrał drugą od lewej, jego zdaniem najlepszą. Pozostałe miały jakieś defekty: w jednej poluzował się uchwyt na słuchawkę, przez co ta ciągle opadała, jakby czymś zdołowana, w drugiej z kolei zapychał się odpływ i pod koniec kąpieli woda sięgała

do kostek. Florian poznał te wszystkie tajniki, bo był na pływalni regularnie, trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki.

Nie żeby tak znowu bardzo kochał pływać, raczej go to nużyło, nawet muzyki nie można było posłuchać, a poza tym choćby nie wiadomo jak mocno naciągał czepek, do uszu i tak wlewała się woda i za cholerę nie mógł jej potem wytrząsnąć. Nie pomagała nawet metoda podpowiedziana przez ratownika: skkanie na jednej nodze z przechyloną głową. Florian miał dwie teorie na ten temat. Albo miał wyjątkowo kręte i ciasne kanaliki słuchowe, albo ratownik go podpuszczał.

Ale co począć, zalecenie lekarza, pływanie było podobno kluczowe dla rehabilitacji kręgosłupa. Dwa lata temu Florian wstał od biurka, zgięty wpół, i tak został – bo kiedy tylko próbował się wyprostować, czuł tak przeszywający ból, że łyzy ciekły mu z oczu. Myślał, że musi być poważnie chory, że to co najmniej jakiś rak albo egzotycznie brzmiące genetyczne schorzenie, równie rzadkie co groźne, które właśnie dało o sobie znać po raz pierwszy; słowem: był już gotów spisywać testament i żegnać się z rodziną. Diagnoza, którą mu postawiono, była jednak banalna: dyskopatia, schorzenie typowe dla siedzącego trybu życia, zalecenia: basen i gimnastyka. On, Florian Schulte, haker ścigany onegdaj listem gończym, z chorobą biurową i zwisającym znad paska brzuszkiem.

To było dawno temu, rzecz jasna, i w innym Berlinie. Miał długie kręcone włosy, agrałki w plecaku i skórzaną kurtkę z symbolem anarchii wymalowanym białą farbą na plecach. Mieszkał w squacie w Kreuzbergu, wierzył w wolną miłość i wolne dane, widział w sobie bojownika o cyfrową równość i braterstwo. Krótko mówiąc, był naiwny i arogancki, jeszcze krócej: był młody. A komputery? Fascynowały go, odkąd pamiętał. Zaczęło się od gier, od odkrycia, że wystarczy kilka prostych komend, by nigdy nie zabrakło amunicji w magazynku, by latać, przenikać przez ściany. By czuć się jak bóg. A potem okazało się, że te same

metody można stosować też poza wirtualnymi światami, że grzebać można też w innych programach, ba, w trzewiach komputera. Że wystarczy kilka bajtów kodu, a ekran nagle zrobi się czarny albo wykwitnie na nim rysunek złożony z symboli ASCII. Pole kapusty, na przykład (@@@@@@@@@@), albo pająki (....^/(oo)^\\....^/(oo)^\\....^/(oo)^\\....). Początki były niewinne. Psikusy w szkolnej sieci, zabawa w kotka i myszkę z nauczycielem informatyki. Ale potem w lokalnej bibliotece na Perleberger Strasse założyli internet i Florian wypłynął na szersze wody. Do tej pory pamiętał to uczucie, tę euforię: miał nagle dostęp do całego świata! On! Dziś, rzecz jasna, na nikim nie robiło to już wrażenia, internet spowszedniał, stał się czymś codziennym, nudnym, jak toster czy żelazko. Jednak wtedy spędzał przed monitorem każdą wolną chwilę, każdego dnia odwiedzał setki stron. Większość, jak się okazało, nie była dobrze zabezpieczona. W tym strony rządowe.

Florian wyszedł spod prysznica, przetarł zaparowane lustro. Wciąż miał na oczach odciski po okularkach do pływania, wyglądał, jakby założył maskę kreskówkowego złoczyńcy. Uśmiechnął się do odbicia, do przeszłości, zaczął wycierać włosy. Miał szczęście. Prawo nie nadążało wtedy za technologią, przestępstwa, które popełnił, nie miały jeszcze nazw. Nie przeszkadzało to sędziemu, staruszkowi o włosach białych jak śnieg, skazać go na trzy lata w zawiasach i trzysta godzin prac społecznych. Coś ty najlepszego zrobił, rozpaczła matka po wyroku, ścieraając z policzków łzy i rozmazany tusz, kto ci teraz da pracę. Cóż. Nie musiała się martwić. Florian z łatwością przeszedł na drugą stronę barykady, został analitykiem złośliwego oprogramowania, z sześciocyfrową pensją i pięciopokojowym mieszkaniem w centrum Berlina.

Otworzył szafkę, przebrał się: džinsy, bluza z kapturem, kolorowe trampki, które kosztowały więcej, niż był gotów powiedzieć żonie. Sięgnął po telefon, nie po to, żeby coś zrobić, gdzieś zadzwonić, tylko dlatego, że był, że trzeba było sprawdzić, co

też go ominęło przez te czterdzieści trzy minuty, kiedy był na basenie.

Tym razem akurat sporo. Osiem nieodebranych połączeń: jedno od ojca – pewnie znów ma problem z drukarką – i siedem od jego szefa, Bastiena, dyrektora Schloss Security, jednego z kluczowych producentów oprogramowania antywirusowego. Florian uniósł brew, zaintrygowany. Coś się musiało dziać.

Bastien odebrał po drugim sygnale.

– Halo? Florian? Możesz rozmawiać?

– Aha. Coś się pali?

– Nic, ale... – Bastien zawiesił głos. – Jesteś z kimś?

Florian rozejrzał się po przebiegalni. Było pusto.

– Nie. Możesz mówić.

– Jeden z klientów wysłał nam *malware*, który znalazł u siebie na serwerze. Nasz program go nie wyłapał.

– Aha. No, zdarza się.

– Ani Norton. Ani Kaspersky. Ani Avast.

– Hm. A co robi ten tajemniczy program?

– Nic.

– Nic?

– Aha.

– To jak go wykryli? – Florian usiadł na ławce i schował mokre klapki do płóciennej torby.

– Administrator zauważył wzmożony ruch na lokalnej sieci w nocy. Postanowił sprawdzić, co się dzieje.

– Mhm. No dobra. Rozumiem, że go już zhaszowaliście?

– Pewnie. Na VirusTotalu nie ma żadnych wyników. Mamy go jako pierwsi.

– Okej. Ktoś już zrobił analizę statyczną?

Przez chwilę w słuchawce było cicho. Ktoś wszedł pod prysznice, poleciała woda, buchnęło parą zza kurtynki.

– Próbowaliśmy.

– Jak to próbowaliście?

– Florian, cholera, to coś... – Bastien urwał. W jego głosie

słysząc było ekscytację wymieszaną z niepokojem. – Jest zapakowane na amen. Nic się nie da z niego wyciągnąć. Nic.

– Uruchamialiście go?

– Nie. Pomyślałem, że poczekamy na ciebie.

– I dobrze – powiedział Florian, otwierając łokciem drzwi na korytarz. – Jadę

Janek i Julita siedzieli na parapecie, przy otwartym oknie, w kurtkach. Ulicą Andersa przejeżdżały tramwaje, terkocząc i zgrzytając, na pozbawionych liści drzewach siedziały nastroszone gawrony. Julita zaciągnęła się papierosem; tytoniowy dym mieszał się z zapachem spalin. W obtłuczonym kubku, który służył za popielniczkę, leżało już kilka niedopałków, obok stały butelki po piwie. Wina nie dopili. Julita wylała je do zlewu.

– Czyli co? – spytał Janek. – Nic?

– Nic.

– Sprawdzalas te pliki z Equifaxu, które ci podesłałem?

– Tak.

– A z Marriotta? W dwa tysiące osiemnastym wyciekły im dane pięciuset milionów klientów, więc...

– Wiem. – Julita powoli wypuściła dym przez nos. – Sprawdzalam. Pudło.

– First American? Tam było tego prawie dziewięćset milionów, więc...

– Też – weszła mu w słowo. Wylewała się z niej frustracja. – I też nic. Próbowalam różnych pisowni nazwiska, na wszelki wypadek. Semenov. Syemenov. Semenoff. I gówno. Nie ma go. Zapadł się pod ziemię.

– A konta jego rodziny, dawnych współpracowników?

– Za kogo ty mnie masz? – fuknęła. – Oczywiście, że tak. Przekopałam wszystko, łącznie z profilem chłopaka córki jego kuzynki na Odnoklassnikach. Nie było go na żadnym zdjęciu, nie wspominali o nim w żadnym wpisie. Za to mają ładną, cholera, daczę.

- Ale nie pisałaś do nich?
- Znów: za kogo ty mnie masz?
- Pff. Ekspertka się znalazła – mruknął, po czym napił się piwa. – Jeszcze dwa lata temu robiłaś quizy o Karolaku.
- Dużo się wydarzyło przez te dwa lata, Janek.

Nic nie odpowiedział. Julita poprawiła opadający na głowę kaptur i wyciągnęła kolejnego papierosa; prawie wypadł jej ze zgrabiących palców. Jeszcze dwa lata temu pracowała dla portalu MEGANEWSY, który zaśmieszał polski internet pseudoartykułami typu MASAKRA! CHCIAŁA ZABIĆ, BO ŚMIERDZIAŁO MU Z UST (ale nie zabiła) albo NIESAMOWITY TRIK GWIAZD NA KRĄGŁE POŚLADKI (robią przysiady). Julita była w tym dobra, wiedziała, jak zwabić internautów, jak wycisnąć z nich złotonośne kliki – ale cały czas marzyła o czymś więcej, o Poważnym Temacie, który zamieniłby się w Prawdziwe Dziennikarskie Śledztwo, za które otrzymałaby Uznanie Środowiska oraz Liczne Nagrody. Marzenie, niestety, się spełniło: Julita trafiła na trop afery, która wyrzuciła jej życie do góry nogami i wstrząsnęła Polską. Odkryła „Plac Zabaw”, schowane w odmętach sieci forum do wymiany pedofilskiej pornografii, z którego korzystali znani z pierwszych stron gazet politycy, aktorzy, duchowni. Stronę zamknięto, ale jej założyciel i administrator pozostawał nieuchwytny, skryty za dziwnym nickiem: Xtraterrestria1. Julicie w końcu udało się ustalić jego prawdziwe imię: Piotr Nikołajewicz Semenov, Rosjanin z syberyjskiego Tomsku. Okazało się, że jego wpływy sięgają dalej, że brał również udział w szeroko zakrojonej kampanii, mającej na celu wprowadzić do polskiego parlamentu partię Polska Jutro, której przewodził niejaki Artur Warecki. Czemu? Po co? Na czyje zlecenie? Jak wiązały się ze sobą te dwie sprawy, pedofilskie forum i polityczne haki? Tego nie wiedziała – i nic nie wskazywało na to, że miałyby się to szybko zmienić. Kiedy zdarła wreszcie maskę z X1, wydawało jej się, że teraz pójdzie już z górki, że używając tych wszystkich przebiegłych metod i trików, których

się nauczyła, lada moment odnajdzie go i przeświekli. Tak się jednak nie stało. Ostatnie, co udało jej się ustalić, to to, że Piotr Semenov w dwa tysiące piętnastym roku wsiadł w samolot do Los Angeles, a potem trop się urywał – na dobre. Może gdyby była tam na miejscu, w Stanach, coś by jeszcze wywęszyła, ale pracując po drugiej stronie Atlantyku, była całkowicie zdana na sieć.

– To co dalej? – spytał Janek. Nie patrzył na nią, był zajęty zrywaniem etykiety z butelki po piwie.

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Że jest coś, o czym nie pomyślałam, co jeszcze można by zrobić...

– Hm. A sprawdzałeś fora z wykradzionymi kartami kredytowymi? Może tam...

– Sprawdzalam.

– No to już nie wiem.

– Serio? – westchnęła. – Nic dziwnego, że macie na policji tyle nierozwiązanych spraw.

– To już nie mój problem – odparł Janek. Teraz pracował w konsultingu jako ekspert do spraw cyberbezpieczeństwa.

Julita zamknęła paczkę z papierosami. Na opakowaniu było zdjęcie człowieka w trumnie. RZUĆ PALENIE, MASZ DLA KOGO ŻYĆ, głosił napis pod spodem. Tak, pomyślała, mrużąc oczy przed światłami samochodów. To prawda.

– W takim razie Królak – powiedziała.

– Ten gość, z którym byłeś wtedy w telewizji? Koleś, który robił kampanię dla Polski Jutro?

– Aha. Pokazywał się publicznie. Miał tu zarejestrowaną firmę. Musiał zostawić jakieś ślady. Wiesz... Po nitce do kłębka.

Janek pokiwał głową, chyba z aprobatą, dopił piwo i odstawił pustą butelkę na parapet. Poszarpana na paski etykieta sterczała na wszystkie strony.

– Dobra – powiedział, ocierając usta. – Idę.

– Co? – zdziwiła się – Tak po prostu?

– A planowałaś dalsze atrakcje?

– Nie, ale...

– No właśnie. A ja jutro rano wstaję do pracy.

– Może chociaż coś powiesz. Wiesz, co myślisz.

Janek poszedł do przedpokoju, otworzył sobie drzwi.

– Myślę – powiedział, stojąc już w progu – że sobie poradzisz.

Piotr Semenov wsunął kartę do czytnika, przykładając kciuk do szklanego panelu. Zapaliła się zielona lampka i drzwi z pleksiglasu rozsunały się bezszelestnie. Poczuł na skórze suche, nagrzane powietrze, w którym unosił się metaliczny zapach pracującej nieprzerwanie elektroniki, uszy wypełnił mu łoskot tysięcy wiatraczków. Pomieszczenie było ogromne, pozbawione okien, sterylne. Wypełniały je długie rzędy regałów, przesłoniętych drzwiami z perforowanej stalowej siatki, zza których błyskały żółte światła diod, jak ślepie zwierząt uwięzionych w klatkach. Wyżej, na podwieszonych pod sufitem aluminiowych rynnach, wiły się splecione w grube warkocze kable. Piotr sam już nie pamiętał, ile trzymali tu serwerów. Może pięć tysięcy. Może sześć.

Mężczyzna wziął głęboki oddech, aż nagrzane suche powietrze wypełniło mu płuca. Był dumny – i miał ku temu powody. Przeszedł daleką drogę, pełną wzlotów i upadków. W końcu dotarł tu. Do szarego, kanciastego budynku położonego na przedmieściach San Jose w słonecznej Kalifornii, między wiaduktem a stacją benzynową, który z zewnątrz wyglądał jak zwykły magazyn albo hurtownia, a tak naprawdę skrywał ogromne rezerwy najcenniejszego surowca dwudziestego pierwszego wieku: danych.

Piotr uśmiechnął się. Wrócił myślami do Tomska, do lat osiemdziesiątych. Każdego wszak łąpie czasem nostalgia. Nawet zbrodniarzy.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca